Lwów 28. Września — Nr 116. — Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztowa rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartał. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

X.

Mąż odszukany.

Stałem mieszkaniem arcybiskupów lwowskich rzymsko-katolickiego wyznania aż do niedawnych czasów, była kamienica w rynku stojąca, którą lud czasem przez widoczną grzeczność pałacem nazywał. Była to niezaprzeczona grzeczność tylko, bo kamienica ta nic w sobie pałacowego nie miała. W historycznym wszakże względzie sławne to zawsze pomieszkanie, gdyż w nim król Michał ceranką źle przyprawioną żołądek zepsuwszy, Bogu ducha oddał, torując śmiercią swoją właścicielowi sąsiedniej kamienicy, Janowi Sobieskiemu, drogę do tronu.

W porze naszej powieści siedział na stolicy arcybiskupiej Wacław Dołęga Sierakowski, poźniej pierwszy hrabia galicyjski, pan światłem powagą i rozumem odznaczający się. Uznanemi też były powszechnie zasługi jego około owieczek różnych diecezyi, gdzie tylko z łaski królów polskich na biskupich stołkach zasiadał, za nim ostatecznie arcybiskupstwo lwowskie posiadł.

Wróciwszy z nabożeństwa, znalazł już wedle zwyczaju przygotowane śniadanie, przy którem wnet go otoczyli rozmaici dygnitarze kapituły, bawiący pod tą porę we Lwowie. Głównemi między niemi byli księża: Ferdynand Kicki zastępca, Szczepan Mikulski archydyakon, Alexander Czołhański scholastyk, Jerzy Bietkowski kanclerz, Łukasz Godurowski, kantor. Z kanoników zaś byli przy nim Adam Grabianka, Leon Sierakowski, Jan Bożezdarz Jełowicki, Michał Stawski, Wojciech Wittant, i Dominik Sędzimir.

Ledwie wszedł do pokoju, wszyscy przewidywali burzę po wzburzonych rysach arcypasterza, który trzeba wiedzieć, był z natury wielkim cholerykiem. Jakoż przeszedłszy się kilka razy po pokoju ozwał się gwałtownie:

— Takiego nieporządku jaki panuje w archikatedrze trudno sobie wyobrazić, gdyż jakże być może, żeby nie było zachowanych na przypadek miejsc do tego stopnia, iż księżna jenerałowa kilka stała minut, zanim jej dziady przynieśli twardą jakąś ławeczkę. Bo chociaż to w kościele Bożym wszyscy równi, przecież jest to dama, która w swoim czasie omal nie została królową. Proszę więc bardzo, żeby na przyszłość było zawsze parę ławek zamykanych na pogotowiu. Przez całe kazanie tak mnie to irytowało, iż ledwie mnie gniew nie zjadł. A do tego jakie to było kazanie? Jest li to przyzwoitą rzeczą, aby kaznodzieja jakieś filozoficzne zadanie wziął sobie za temat?.

Ksiądz Kicki, mający wielką u arcybiskupa wziętość, odpowiedział zapewniając, że rozkazy arcypasterza będą co do słowa wypełnione, co go nieco uspokoiło, i zrobiło możliwem spożycie śniadania.

Tymczasem pani Wolska wbiegła na chwilę tylko do pomieszkania swego, aby zostawić tam córkę, znajdywała bowiem to nieprzyzwoitą rzeczą, aby jej córka towarzyszyła do arcybiskupiego pałacu. Dla większej pewności zamknąwszy córkę na klucz, pospieszyła sama na posłuchanie.

Biedna Anusia zostawszy sama, chciała co prędzej z tej chwili korzystać, aby napisać do najdroższego Jasia, ale mamunia przezorna po napisaniu listu do ciotki Weroniki, pochowała zaraz wszystkie przybory do pisania.

Pani Wolska bez najmniejszej trudności przypuszczoną została, i nawet gdy zastała jeszcze śniadanie nieskończone, kamerdyner podał jej filiżankę kawy.

— Pani Wolska niech siada! ozwał się arcybiskup, i opowie mi rodzaj swojego interesu.

Tu tedy pani Wolska wystąpiła z zapytaniem o miejsce pobytu księdza Deodata Rafałowicza exjezuity. Obecny tej rozmowie ksiądz Wittant dał zaraz informacją, że wielebny ojciec Deodat przemieszkiwa w Buczaczu na dworze pana starosty Potockiego.

Usłyszawszy to arcybiskup, niemógł wytrzymać, by niepowiedzieć:

— Bardzo z tego kontent jestem, bo jest tam przecie przy nim ktoś taki, co go zdoła reflektować.

— Już zmolifikowany excellentissime! ozwał się ksiądz Jełowicki. Pan starosta przywdziewa co piątek pod wielkim sekretem ciasne buty, w których chodzi cały dzień.

— To dobrze! to pięknie! zawołał arcybiskup. Ale bo to jak mówią strach ma wielkie oczy, a grzeszył też on, grzeszył niemało. Więc Aćśka pojedziesz do Buczacza? mówił dalej zwrócony do pani Wolskiej. A są tam i Wolscy na Podolu, odzywali się do mnie z parentellą.

Matka Anusi opowiedziała mu na to cały wywód kwerendy, jaką robi za mężem, który od czasu konfederacyi Barskiej znikł zupełnie. Przyczem naturalnie powiedziała coś o rodzie Wolskich, o tym mianowicie, z którego sama pochodziła.

Nie musiała bardzo zająć arcybiskupa opowiadaniem swojem, bo ten co prędzej ukłoniwszy się wszystkim, wyszedł do swoich pokojów.

Po raz pierszy od wyjazdu swego z Powiatówki, przyszła pani Wolska do siebie z wypogodzonem obliczem.

— Szczęśliwy to dzień! zawołała. Z księżną jenerałową siedziałam na jednej ławeczce, u arcybiskupa piłam kawę, poznałam w nim powinowatego, a co więcej wynalazłam już miejsce, gdzie mąż mój przebywa.

— Gdzie? zawołała córka mocno wzruszona.

— W Buczaczu, u swego najszczerszego przyjaciela pana starosty Kaniowskiego.

— Ach mamo dobrodziejko! jakże to straszno jechać do tego Buczacza; wszak to ten sam pan Potocki, o którym tyle złego słyszałam.

— Pfe! a pfe! wstydziłabyś się aspanna. Jak można obmawiać tak wielkich panów. On tylko jest wesół. Czy nie było tu faktora! bo nam trzeba co prędzej jechać.

Po długich targach, któremi nie będziemy nudzić czytelników naszych, nazajutrz zrana wyjechały panie nasze do Buczacza. Kilka dni trwało, zanim zajechały, bo i droga była szkaradna i konie nie najlepsze. Ale gdy wreszcie dojechały, poczciwa Anusia płakała aż z radości dowiedziawszy się, że ojciec jest przy życiu. Czy matka się cieszyła, trudno z pewnością powiedzieć, ale to pewna, iż już naprzód namarszczyła czoło i przygotowała się na ogromne reprymendy i wymówki, do których przygotować się tem więcej miała czasu, że od Krzymuskiego dowiedziała się, jako pan Wolski wróci za dni kilka dopiero z polowania w górach przedsięwziętego.

Nadjechał na to i starosta z Chocimierza, i także nie mało narzekał na niebytność pana Wolskiego, który jeden w długie wieczory umiał zabawić starostę, i nie dał (jak się sam wyrażał), upaść jego fantazyi.

Przy tej sposobności dowiedział się także, że żona Wolskiego przyjechała z nieszpetną córką, jak się wyraził Krzymuski.

— Winszuję mu biedakowi! ale nie zazdroszczę, bo to ma być baba z piekła rodem. On tam i w górach nie długo zabawi się tem polowaniem, bo ja znam te miejsca, znam to pole.

— Czy jaśnie wielmożny pan był tam kiedy na łowach?

— Tam na tem samem miejscu nie byłem, ale niedaleko w sąsiedztwie. Była to cała awantura.

A że się nudził pan Kaniowski, więc wziął się do opowiadania.

— Król August III nieboszczyk, daj mu panie niebo, nie taki był mazgaj, jak dzisiejszy pan Stanisław. Napomknął on jakoś Czartoryskim, iż chce w Skolszczyznie zapolować na głuszce i jelenie, dodając, iż od Węgier brat znowu cesarza rzymskiego nieboszczyka, Lotaryńczyk, zjedzie, i że oprócz tego chciałby te okolice, do Węgier przytykające, poznać. Zafrasował się wojewoda ruski bo niewiedział jak to uczynić. A że to było jakoś przy obiedzie, na którym z panem stolnikiem litewskim, a dzisiejszym królem znajdowałem się, prosił mnie wojewoda, ile bliskiego kuzyna żony swojej, abym tę ofiarę zrobił dla króla i polowanie to urządził, dodając iż na moje rozkazy państwo Brzeżańskie dostarczy wszystkiego, tak w potrzebach myśliwskich jako i wiktuałowych. Zjechałem więc do Skolego i zacząłem urządzać, jakoż byłoby wszystko poszło dobrze, a między innemi pewnie województwo Bełzskie, i wstęga błękitna tak jak mego ojca, i mnieby były nie minęły, co wszystko jak ci wiadomo więcej znaczyło jak dzisiaj. Przygotowałem tedy i objechałem knieje; był koń hucuł, przygotowany pod króla, koń, jakich dziś już na świecie niema, i przybyło sto bryk z wiktuałami i potrzebami łowieckiemi, za moją assygnacją z Brzeżan, bo to z królem liczna drużyna zjechać miała. Jeździłem po przyległych wsiach, bo to tam dwadzieścia kilkoro tego, wszędzie przyjmowany wiwatami i chorągwiami przez księży lokalnych i gminy. Wypraszałem się jak mogłem, ale to nic nie pomogło, jakoś mnie chcieli koniecznie ukonsyderować. Pewnego dnia, a była to może mila do granicy węgierskiej, jechałem na bardzo bystrym koniu, i zdybałem żyda co wiózł skóry. Żyd nie umknął mi się z drogi, a i ja jadąc zamyślony, choć się dobrze trzymałem w siodle, nie mogłem przeszkodzić, że koń skoczył ze mną w bok, i wpadliśmy w fosę. Dworzanie przypadli, narobili krzyku i nuż żyda tłuc. Żyd zamiast użyć pokory, i ze skruchą przyznać się do winy, zaczął jeszcze głupstwa gadać, a że to ze mną krótka sprawa, a dotego człowiek nie był jakiś dyspozyt, krzyknąłem więc: na drzewo z szelmą! Dopiero żyd zobaczywszy, że to nie przelewki, upokorzył się, i zaczął błagać, przedstawiając że ma sześciorgo dzieci; obdarowałem go życiem tedy i pojechałem dalej. Pamiętam jakby dziś było, gdy przyjechałem nad samą granicę, byłem okrutnie głodny, i repetowałem obiad z wielkim apetytem. Zaproszono tam na obiad kilku z szlachty drobnej okolicznej, ale jak żyję, takich ludzi niewidziałem, bo to ani łyżki do ręki wziąć, ani kieliszka do ust przytulić, ciągle tylko w ukłonach i w ukłonach. Wróciwszy do Skolego zastaję kozaka z wiadomością, że ze wszystkiego nic, że król ma podagrę. Cóż było robić? sam sobie polowałem. Prócz mnóstwa psów które miałem, ruszywszy gromady na obławę, znacznego zwierza upolowałem. Padło parę niedźwiedzi, parę jeleni, a drobiazgu co niemiara. Ale dla ludu ta obława na dobre wyszła, bo wi-

dząc jak dużo było głodnych i wygłodzonych między tymże, wszystkie prowianty rozdzielić kazałem między nich, a sam wyjechałem.

Przypomniawszy sobie przy tem Wolskiego, zapytał Krzymuskiego, gdzie zajechała Wolska, a dowiedziawszy się że jest dotąd w austeryi, kazał prosić do gościnnych pokoi.

— Zaraz w imieniu jaśnie wielmożnego pana zaproszę, odrzekł Krzemuski, i tak ją tem uszczęśliwię, jak jaśn. wielm. pan w czasie pobytu swego w górach uszczęśliwiłeś tego tam żyda darując mu życie, i tych głodnych nieboraków, rozdając między nich specjały, przygotowane dla króla i panów.

I wyszedł do austeryi, by tę przyjemną wiadomość donieść pani Wolskiej.

XII.
Polowanie górskie.

Zostawiliśmy pana Łobeskiego rezydenta zamku w Podhorodcach, jak rozdysponował polowanie, na którym miał być pan plenipotent Kiena, który jak wiemy jeździ po całym świecie za szlachectwem pana Jana Drzwiowskiego. Wydawszy tedy rozporządzenia swoje, usiadł sobie jeszcze przy kominku, przyłożył drzewa bukowego, i rozdmuchując mieszkiem ogień, patrzył z uciechą, zrozumiałą wiejskim mieszkańcom, na trzeszczące polanka i sypiące się iskry.

W tem nagle uczuł, że coś ciężkiego spoczęło na jego ramieniu jakby ołowiana łapa złego ducha. Tak mu zamarzonemu wydało się przynajmniej w pierwszej chwili.

— Wszelki duch chwali pana Boga! wrzasnął mimowolnie, a zarazem by być gotowym na nadziemskich i ziemskich napastników, porwał w rękę spore polano.

Jakże miła była dla niego niespodzianka, gdy obróciwszy się postrzegł znajomego już nam pana Mikołaja Wolskiego, ojca, jakeśmy się tego dawno już domyślili, naszej bohatyrki, którego się rzeczywiście Łobeski spodziewał, jak to już mówił o panu orderowym, z którym łączyły go dawne pamiątki koleżeństwa szkolnego, i wspólnej w Barskiej konfederacyi wojaczki.

Nie było końca uściskom i potrząsaniom rąk, z jakiemi witali się starzy druhowie. Wolski chociaż równie serdeczny był, wszakże przy tem więcej poważny, uroczysty i ceremonialny, naśladując niby z pańska maniery Buczackie.

— Jak się masz kochany Podstoluniu! przemówił do gospodarza, który tę godność nominalną piastował po dziadku swoim. Cóż tu porabiasz w tych to górach. I po wzajemnem przywitaniu ciągnął dalej: W lecie musi być u was bardzo przyjemnie, ale w zimie drogi wasze szkaradne.

— Cóż robić? człowiek mieszka gdzie może!

— Hej! hej! ciężkie teraz czasy na nas szlachtę; honesto loco natus et bene educatus ctiam in adversa fortuna rationem habere, decet bonae famae.

— Trzeba się z losem zgodzić, chociaż smaczniejsze Warszawa, Lwów i Kraków. Póki mieszkałem tam w tych dołach, dłużnicy i familia ścigali mnie, i ścigali bez litości, tutaj zaś nie tak prędko trafią po złej drodze przez góry i bory. Dobrze mówią: satis vicit qui hostes fugavit. Z resztą mój chlebodawca, człek dobry, zdaje gospodarstwo na mnie; taj sobie człowiek daje jakoś radę, ot i tego roku odpędził człowiek parę tuzinów szkap na Węgry, a natomiast win nakupił, którem cię ugoszczę kochany rotmistrzu, radując się że przyjmuję pod tym dachem wielkiego i drogiego serca memu familianta, który w rodzie swoim liczy prawie wszystkie honores ac dignitates tam spirituales quam saeculares, beneficia ac officia omnia et singula. Cóż ty porabiasz w Buczaczu; piękne nasze losy; ty tam u warjata, a ja na krańcu świata. Przynajmniej twój pryncypał kilkokluczowy pan.

— I cóż z tego, niema gotówki. Człowiek uczciwy do niczego u niego nie przyjdzie, tylko rządzcy tam jakieś, obcy obdzierają go, a co zostanie, to zabierają księża.

— Oj! tak to bywa; ale napijmy się serdeńku nektarku; zaraz będziesz miał zrazy z kaszą. Jutro zapolujemy tęgo; przyjechał tu jakiś Kiena z pod Warszawy, tęgi łowiec, i mówi, że szlachcic polski; poznasz go jutro. My sobie tymczasem tak się utraktujemy, że każdy w chwilowem szczęściu ledwie te słowa będzie mógł wymówić: sufficit quod vivam.

(D. c. n.)

Ustęp z poematu pod tytułem:

BOKIEJ.

Gdy już znamy dwór z postaci,
Przypatrzmy się lepiej braci,
Co zasiadła koło stoła
Krzesła, ławy do okoła.

Poznajmy to szlachty grono,
(Ciekawiście tego pono?) —
Otóż pójdę po kolei,
Bym nie utknął gdzie w tej kniei.

Najprzód tedy chociaż siwy,
Ale czerstwy, ale żywy,
Choć niejeden krzyżyk liczy
Generosus Jaxa z Ryczy.

Obok niego czerstwy, hoży,
Z licem, co to zdrowie wróży,

Wąsem czarnym soplicowym,
Nosem ciemno - purpurowym,
(Znać, że nigdy pić nie lubił ?)
Szlachcic herbu Bokij, panie.

Dalej Denis, który chlubił
Się dawnością swego rodu.
Kiedyś pono tam za młodu
Był on żwawy chłop mospanie,
A jak mówią, rębacz tęgi, —
Nawet o tem świadczą wstęgi,
Co mu lica poorały,
Że był rębacz. Nieustąpił
W niczem i nikomu chwały,
Że nie tylko krwi nie skąpił,
Ale także przy hulance,
Przy kieliszku, czy przy szklance
Placu każdemu dotrzymał.
Lecz już teraz głowa łysa
Ku ziemi się z laty zwisa,
Już i nogi nie statkują
Jeno laski potrzebują!
Przy kielichu nie ta głowa —
Dziś nie wleje sie połowa
Tego, co się dawniej piło,
Jakoś z laty się zmieniło.

A tam w kącie jakiś stary,
Ale czerstwy, ale jary
Mnich Bernadyn w swym kapturze
Usiadł, plecy schował w murze.
A tak całe braci grono
Dałem poznać jakoś pono.

— Tandem tedy kiedy pora
I zjechaliście do dwora,
Chorążego odwiedzili —
Toć i o ważniejszej rzeczy
Pomówimy, Bracia mili. —

— Rzeczą pewną, nie zaprzeczy
Mi nikt tego, że ogrodu
Kawał, o który nastaje
Bokiej — mnie należy. —

— Z młodu,
Gdym wyjeżdżał w obce kraje,
Tam zbierałem pomnę kwiatki
I stokrótki, i bławatki
Dla mojej lubej Haneczki,
Dzisiaj żony kochaneczki. —

— A toć wtedy nasze było,
Nam służyło, nam rodziło —
Nie Bokijom! Chryste Boże!
Niewiem jako dzisiaj może
Brat i sąsiad takie baśni
Bredzić — rodzić jakieś waśni.
Tak się ozwał Denis stary.

(D. n.)

Tureckie wesele.

Chociaż przysłowie twierdzi, że ludzie są wszędzie ludźmi, to przecież pomimo to znacznie się pomiędzy sobą różnią. Nie dość bowiem na tem, że co głowa to rozum, ale jeszcze oprócz tego inaczej się ubieraja, inaczej jedzą, piją i biją, inaczej jak widać z opisu jowialnego, ś. p. pana Paska sypiają, a do tego wszystkiego i jeszcze inaczej się żenią, — ale darmo, bo to co kraj to obyczaj. Damy zatem kilka szczegółów może mniej znanych o obrzędach weselnych Turków, niegdyś naszych sąsiadów, którzy to praojcom naszym nie mało gorącego zalali sadła, ale często na odwrót z pokiereszowanemi łbami i karkami, z podciętemi znacznie brodami, drapali co prędzej do Stambułu. Kreślimy tem skwapliwiej, bo wkrótce może wpływ europejski przekształci Turcyą i urządzi po swojemu, Turcy więc żenić się będą z francuzka po angielsku, właściwość zatem obrzędu zaginąć może.

Dwa główne prawa, których my Europejczycy nie mamy, nadał Prorok wyznawcom swoim, pierwsze z któremby się może niekażdy *epuzer* nowoczesny enropejski zgodził, bądź to dla miłego spokoju w domu, bądź ze względu na zaszargany po uszy kapitał sił żywotnych, wymagających i tak już dość często przedślubnych wycieczek to do Grefenbergu to do Ostendy i t. d. — Jest to prawo spędzania żywota w towarzystwie kilku połowic, słowem polygamia. Bieda to wprawdzie czasem, ale zato rekompenzacya w posagach, bo coby to proszę znaczyło w dzisiejszych ciężkich czasach kilka posagów naraz? dziś, gdzie jak to rozrzewniająca historja Felunia Chromackiego uczy, tak trudno szlacheckiemu, dobrze urodzonemu dziecku zdobyć jeden choćby mieszczki Neubekerównej. A tu panie, kilka posagów naraz!

Drugie prawo, którego w duszy nie jeden czuły mąż pozazdrości, dogodniejsze w praktycznem życiu. Jest to prawo upoważniające Muzułmanina do powiedzenia małżonce w każdej chwili: pisz do mnie na Berdyczów, zwłaszcza, że pana męża żadna ustawa niezmusza przyczynić cię choćby, jak to powiadają, złamanym szelągiem do utrzymania żony, z którą wziął rozwód. Mąż ją odsela do rodziców lub krewnych, i ci muszą ją utrzymywać. Zależy te zupełnie od jego łaski, i według upodobania naznacza on utrzymanie żonie, ale prawo jak już wyżej nadmieniliśmy, wcale go do tego nie obowiązuje. Jakby to naszym ucywilizowa-

nym mężom, jeśli nie wszystkim, to przynajmniej w znacznej części byłoby dogodnem! Po rozwodzie żona przecież nie jest zupełnie wolną, bo jeśli się panu małżonkowi podoba, uznać ją na powrót swą żoną, to mówiąc stylem gawędy, nie pomoże Święty Boże, zbierać musi manatki i wracać do domu. W takim stanie jakiśmy po krótce skreślili, zdawało by się, że wszyscy wyznawcy koranu, powinniby zostać starymi kawalerami, bo któraż z piękności, a do tego piękności wschodnich, o łabędziej szyi, kruczych włosach, perłowych ząbkach, o oczach zionących ogniem i t. d. chciałaby się narażać na lada kaprys lub grymas męża (u nas ma się rzecz odwrotnie,) narażać się na ten los okropny zostania wprawdzie nie panną ale także niby żoną a niby nie żoną, niby wdową a znów niby nie wdową, a więc zostać, mówiąc językiem filozoficznym w pośrodku kategoryi stanu kobiecego niewiedzieć do któryj się należy! A przyznam się, że i sam ś. p. ojciec Hegel nie dałby sobie rady, co z tym fantem począć, a niepewność według poetów, och to stan okropny! Myślałbyś więc czytelniku że przy takim fatalnym stosunku przyjdzie wymrzeć brodatym Turkom, że półksiężyc sam z tej przyczyny runie i że nadarmo sprzymierzeni łby sobie rozbijali o mury Sebastopola. Gdzie tam, zamiast jednej, ma ich tam każdy po kilka a niewolnic kilkanaście. Ale to będzie wkrótce inaczej, niechno Turczynki zaczną czytać romanse francuskie, to przyjdą do innego przekonania i poczucia swej godności, niechno sprawa wschodnia dłużej potrwa, to Angielki zbiorą się w *meeting*, podebatują o nieszczęśliwej, tak długo w niewoli jęczącej części ludzkości białogłowej, wypiją kilka toastów na jej wybawienie, a wtenczas, jeśli nie da pomocy, to runie ministerium Palmerstona, bo gdzie diabeł nie może, tam . . . reszty domyśl się czytelniku. Utworzy się może zagraniczny legion broniących praw ludzkości bohaterek, a a wtenczas biada wam brodaci mężowie! biada! bo kontentować się będziecie musieli jedną, mówię, jedną, a to jak wiek długi!

(D. n.)

Listy z Krakowa.

I.

Jesień i pustki w mieście. — Kormanek, Żygliński. — Balicki. — Rogoziński. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Sprawozdanie i Sekretarz jego. — Istnieje litografia w Krakowie. — Cercha. — pomnik Jana Kochanowskiego. — Myłka archeologiczna.

(Ciąg dalszy).

Nie wiele różne życie *Rogozińskiego*, od poprzedników jego, tych braci w cierpieniu. Pasmo dni jego tak samo z kwiatów bólu, walki i łez utkane, za wcześnie przecięte, łącząc go tylko ściślejszym z nimi węzłem, toż samo wzbudza współczucie, tenże sam żal po sobie roznieca.

W dzieciństwie prawie, bo małym będąc chłopcem, gdy był u tutejszego kamieniarza Gallego, wyrzynając mu litery na marmurze, wielkie okazał zdolności i talent. Ledwie zaczął chodzić do szkoły sztuk pięknych na rzeźbiarstwo, tak się już pomiędzy kolegami odznaczył, że go kosztem rządu w roku 1847 wspólnie z Łuszczkiewiczem malarzem za granicę wysłano. Po dwuletnim pobycie, wrócił spotężniawszy w siły i znajomość artystyczną swej sztuki. Wykonany w pracowni Stechlika posąg św. Jana Kantego do Kent był arcydziełem, był znakomitością. Lecz pomimo całej swej umiejętności, nie miał sposobu zarobkowania; do Warszawy mu się wydalić nie pozwolono, żądając, aby się odwdzięczył temu krajowi, w którym się kształcił, a w Krakowie żyć prawie nie miał z czego. Nie ze swojej więc winy w ostatnich latach nie wielu pracami wzbogacił sztukę.

U Stehlika pracował najwięcej. Kilka popiersi, między niemi p. Stoelzla, kopia pomnika Piotra Kochanowskiego, odlew Lucjana Siemieńskiego, Polowej i innych osób, były główniejsae prace jego.

Ostatnie dzieło, *Chrystus od djabła kuszony*, postawiło go na równi z najpierwszemi artystami. Wystawione na publiczną wystawę, powszechny wzbudzało podziw. Lecz i z tej pracy nie korzystał, wawrzynów nie zbierał, bo właśnie w wilią dnia, w którym mu krakowski kunstverein nadgrodę przysądził — genjalny rzeźbiarz życie zakończył. Pieniądze za praemium obrócono na pochowanie zmarłego. *Czas* w 101. nr. 1853 r. tak mówi o tej rzeźbie, w chwili, gdy już na ukończeniu była. „Boskość rozlana w całej postaci Chrystusa, a znowu ten wyraz szatańśtwa i chytrości w kuszącym, którego rzeźbiarz wystawił bez zwykłych atrybutów, jak rogi i ogon, przytem lekkość draperyi, ścisłość i znajomość rysunku, od razu odsłaniają znakomity talent, jakiby pewnie wiele już hałasu narobił, gdyby się pojawił gdzie za granicą. U nas nikt prawie nie szuka, dowiedzieć się o tym talencie, ani zada sobie pracy, aby oglądnąć tak znakomity utwor jak owa wypukło-rzeźba. Przyznajemy, że przy tak małych zachętach, a przy tak wielkiej obojętności, artyści nasi muszą mieć dobry zapas boskiego ognia, kiedy potrafią tyle tworzyć w cichości i zapomnieniu, przerwanem niekiedy jakim artykułem dziennika.” —

Obok tak smutnych artystów kolei, obok obojętności, którą sztuka wszędzie napotyka, zawiązane w roku zeszłym w mieście naszem *Towarzystwo przyj. sztuk pięknych* wydało się gwiazdą nadziei, soczewką, w której rozpierzchłe promienie portem w którego przystani tulające się rozbitki zgromadzać się mają. I w rzeczy samej na czele statutu położony §. iż stowarzyszenie to „ma w ogólności za cel obudzić zamiłowanie prawdziwej i gruntownej sztuki, w ogólności zaś nastręczyć artystom środki wystawy i pozbycia swych dzieł, tudzież wspierać i zachęcać artystów krajowych do coraz większych

postępów w swojej sztuce» *) znalazł rozgłos w całym kraju. Z zapałem przyjęto ten zamiar, i w pierwszym początku 916. obywateli pospieszyło z pomocą, a dowodząc współczucia, rozebrali tysiąc paręset akcyi. Wypadek ten dowiódł, jak potrzeba czegoś podobnego w kraju głęboko uczuwaną była.

Dyrekcja złożona z imion, pierwsze miejsce co do stanowiska i zasług zajmujących, według sił starała się odpowiedzieć oczekiwaniom publicznym, w zawiązku swych czynności. Zaczęła od urządzenia wystawy obrazów, rzeźb i odlewów, któreśmy minionej oglądali zimy, a z których nie mogąc więcej, trzynaście tylko zakupiła, i przez losowanie między członkami je rozdzieliła.

Jako premium zazwyczaj wszystkim akcjonarjuszom rozdawane, przerysowano *Obronę Częstochowy, Januarego Suchodolskiego* i ryciny tejże rozesłano.

Dziwną tylko jest rzeczą, dla czego do odbicia tejże za granicę posełano; bo jeżeli wnosić można z współczucia, które spiesznym udziałem pomiędzy mieszkańcami naszych prowincyi się okazało, wątpić nie należy, iż każdy członek mniej uważając na dokładność wykonanej ryciny, byłby wolał mieć to miłe przekonanie, że tym sposobem został podniesiony początkujący zakład litograficzny w kraju, że jego właściciel mogąc rozrządzić większemi funduszami, postarałby się o zaopatrzenie się w zdatnych ludzi, w dokładniejsze przyrządy i mógłby stanąć z swoim zakładem na równi z zagranicą.

Czyż bowiem tak już dzisiaj wątpić mamy o talentach w Polsce? Czyż te Europie nie świeciły przed wiekami i nie świecą dzisiaj? Czyż ich już tak mało mamy, że nie sądzimy za godne dopomódz im się starać, a pierwszym chwiejącym się krokom pobłażać nie chcemy. Czyż wreszcie w Krakowie nie istniały litografie, z pod których prasy wychodziły odbicia na równi z zagranicznemi stojące, które nawet za granicą chwalono, **) a z których nie jedne dzisiaj jako rzadkości poszukiwane, przepłacane bywają: n. p. kopia obrazu Czechowicza, *Chrystus między faryzeuszami*» u Wrońskiego odbita?.

(C. d. n.)

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz zaś przyznał się król wszystkim, że w Polsce panować nie będzie; a tak nieboszczyk ksiądz Sapieha następującej nocy wymknął się z Królewca z bratem moim, panem starostą mścisławskim do Gdańska, obawiając się aresztu za długi dziadowskie, a ksiądz biskup teraźniejszy w Królewcu jeszcze się został.

Nim zaś przyszło do tej wiadomości, panowie polscy, osobliwie pod bytność królewicza pruskiego teraźniejszego króla, ustawicznie dawali kosztowne kolacye z fajerwerkami i z illuminacyami. Po odebraniu zaś tej niepomyślnej nowiny, wszyscy byli jak powarzeni: każdy zaczął o sobie myśleć, i na pokojach królewskich mało kto bywał. Zaczęli się zatem rozjeżdżać, i król co przedtem w wielkiej bywał assystencyi, ledwie już mniewał kilka osób przy sobie.

Odjechał też i brat mój, ksiądz biskup, zostawiwszy mię w opiece pana Syrenia, natenczas sekretarza królewskiego, który nas z panem Prozorem ulokował w pewnej stancyi z dyrektorem, o którym się mówiło, zamówiwszy stół do wakacyi. Gdy się panowie polscy rozjechali z Królewca, powyjeżdżali i panięta ze szkół; było zaś ich niemało, jakto: Czapskich wojewodów pomorskich, dwóch Massalskich, teraźniejszego hetmana synów; Józefowicz teraźniejszy starosta orszański; Dąbrowski, teraźniejszy stolnik; Białozór, Horain, Odachowski i t. d. Wszyscy zaś my mieli tytuł paziów króla Stanisława; zostało się nas tylko Polaków trzech; ja, Prozor i Dubicki. Król Stanisław siedział jeszcze w Królewcu do wiosny; nakonicc i on wyjechał, wziąwszy z sobą pana Syrenia, a pan Syreń wziął pana Politańskiego i Prozora, mego kompana, a tak zostałem jeden u dyrektora. Miałem jednak wszelką wygodę, bo mi na co było potrzeba, dodawał pieniędzy Saturgus, sławny kupiec królewiecki, katolik.

Gdym się w Królewcu bawił, bracia moi w Gdańsku byli z księdzem Sapiehą, który chcąc powrócić do Litwy, pisał do kanclerza Sapiehy, prosząc, aby mu wyrobił paszport do jechania prosto do Wilna, bo myślal sobie o nic się nie starać, lecz przy probostwie wileńskiem wiek swój skończyć. Ale mu inny paszport przysłano, to jest taki, za którym mógł jechać do Warszawy, dla rekognoskowania króla Augusta za króla. Musiał tedy jechać do Warszawy na sejm pacificationis, i tam dla niego kanclerz Sapieha nietylko dobre przyjęcie sprawił u króla, ale też i koadjutoryą wileńskiego biskupstwa wyjednał, a wkrótce potem referendaryą litewską.

Gdy powracał z bracią memi ksiądz koadjutor, dążąc do Wilna, napisał do mnie ksiądz biskup żmudzki, abym się i ja wybierał do Wilna, upewniając, że nadjedzie do Królewca pan Rozenfeld, porucznik Jego królewskiej Mości, który miał mi obmyśleć powrót.

Jakoż ultimis Julii 1736 roku, przybył do Królewca i upewnił dla mnie szmagę, Pröglem i hafem do Tylży idącym; dał zaś mi pieniędzy dla najęcia w Tylży furma-

---

*) Dosłowny odpis 1. §. statutu tow. prz. szt. piękn.

**) Uczony *Wurzbach* w dziele swojem: *die Kirchen der Stadt Krakau* str. 371 mówiąc o wydawanych p. Łepkowskiego starożytnościach, mówi *die prachtvolle Ausgabe*. Pomijamy tu dawniejsze płody litografii krakowskich: Sonntaga, Wyszkowskiego, Dąbskiego, Wrońskiego i Lipnickiego.

na do dalszej drogi, zostało bowiem przy mnie niemało rzeczy księdza koadjutora, których transport do Wilna był przyporuczony. Wypłynąłem tedy szmagą, primis Augusti, wysiedziawszy w Królewcu ze wszystkiem 18 miesięcy. Pierwszego zaraz dnia uszliśmy 4 mile Pröglem w górę, nazajutrz zaś weszliśmy do hafu, tego samego, którym z Kłajpedy płynąłem, na którym o pół mili od brzegu stojąc na kotwicy, nocowaliśmy przy pięknej pogodzie. Jam wieczorem strzelał do kaczek późno, gdy jedną razą pokazała się ognista lecąca kula, alias futuus ignis; na tej zaś szmadze niemało było różnego gatunku ludzi, którzy wołać zaczęli że latawiec leci, ale ta kula uderzywszy się o maszt, rozsypała się i iskry się rozsypały po całej szmadze.

Nazajutrz obserwowaliśmy, iż na każdem miejscu gdzie iskra spadła, znajdowała się kropla, nakształt oleju tłusta, fetor siarczysty mająca; maszt zaś niemal cały był tą massą oblany. W tej szmadze w przednim końcu była izba dla ludzi wygodna, w tyle zaś był pokoik z dwoma szklannemi okienkami, w którym ja miałem stancyą z dyrektorem księdzem Pawłoskim, i z chłopcem takoż Pawłoskim, czwarty sam gospodarz szmagi, stał z nami. Środek zaś był naładowany towarem, a najwięcej było w postawach sukna i 16 łasztów soli; była bowiem to szmaga nakształt okrętu robiona: miała cztery kotwic i dwie armatek, z których dawano ognia, gdy odchodziła z Królewca i przychodziła do Tylży.

Dnia 3 naszej podróży był dzień pogodny, przy pomyślnym dla nas wietrze; jakoż o wschodzie słońca ruszywszy z noclegu, ubiegliśmy mil 10 do godziny pierwszej z południa, do ujścia Niemna w haff, w który nam trzeba było płynąć; a że Niemen kilku odnogami wpada w haff, a przeto piaszczyste toki odsypuje, nie trafiliśmy na sam nurt, więc o ćwierć mili od brzegu wbiła się szmaga na piasek, na którym nocować musieliśmy. Przez cały wieczór i nazajutrz rano, było usiłowanie zepchnąć szmagę z piasku, ale się nieudało: nareszcie chłopiec mój odważył się nurkiem dociec, gdzie najbardziej spód się opierał: jakoż dociekłszy, coraz nurzał się i piasek podkopywał, a tymczasem kilku mołojców stojąc w wodzie wyżej pasa, wielkiemi drągami podważali, i nakoniec zepchnęli szmagę. Jeszcze tego samego dnia wjechawszy na Niemen upłynęliśmy mil dwie, i tak kontynuowaliśmy żeglugę naszą, i gdy mieliśmy wiatr pomyślny, podnieśli żagle i wiosłami robili, gdy zaś wiatr był przeciwny, to mołojcy linami ciągnęli. Ja zaś do czółna wsiadłszy, często strzelałem kaczki. Jednego razu szła szmaga brzegiem przy powiewnym wietrze, ja wziąwszy z sobą chłopca mego i sterniczka, popłynąłem na drugą stronę Niemna dla strzelania kaczek na zatokach; tymczasem umknęła się szmaga, musieliśmy z trudnością doganiać, zwłaszcza gdy chcąc na nią wsiąść, trzeba było znacznie uprzedzić, aby woda nie zniosła. Jakoż po wielkiej pracy minęliśmy szmagę, i gdy puściliśmy się przez Niemen na przełaj, chwyciła nas bystrość, i prosto niosła na przód szmagi; już tam trzeba nam było zginąć, ale Bóg wszechmocny ratował, bo gdyśmy już mieli uderzyć, mnie sam sternik nachyliwszy się pochwycił i wyciągnął; Pawłoski mój chwycił się za kotwicę, a sterniczek za drabinę, czółno zaś uderzywszy się, w kawałki poszło całe.

C. d. n.

Rozmaitość.

* **Z Krakowa.** Jak pożegnanie odjeżdżających, tak i powrót artystów polskich nacechowany zawsze w mieście naszem serdecznością, współczuciem prawdziwem. Dnia 20. b. m. otworzono kurs zimowy *młodą wdową Korzeniowskiego i Flisakami Anczyca.* W tych ostatnich spiewki zastósowane do okoliczności, spiewki Flisaków i starego retmana (*Pfeiffra*), radujących się z powrotu w rodzinne gniazdo, znalazły odgłos w przetłoczonej publiczności a grzmiące oklaski i łza wspólnie pojętego uczucia, co w oczach widzów i artystów zawisła, o prawdzie najlepiej świadczyły. Bo też jedynie węzeł tego rodzaju utrzymywać może i utrzymuje scenę narodową, gdy ta brakiem świetnych talentów nie zawsze w stanie zainteresować i pociągnąć. Znane wam już tegoroczne personale teatru naszego. W zamian ubyłej *Kotowskiej* mamy *Szturma* i *Szynglarską*, a w nadziei *Aszpergerową* i *Nowakowskiego.*

Młoda wdowa, trzechaktowy obrazek z życia Warszawskiego, pojawił się ostatnim razem w 1818 r. na krakowskiej scenie. Odświeżony dzisiaj podobał się dosyć. Okrycie śmiesznością emancypacyi kobiet, szychu życia modnego świata, którego zabawy, nabożeństwo i treść cała w jedno zwrócone, w spólne łudzenie (w osobach hrabiny, szambelanowej i całej zgrai bywających tam gości) z jednej strony, a szczerość, prostota i prawość charakteru (w osobie pułkownika) z drugiej strony, różnice między temi obozami społeczeństwa, zwycięztwo drugiego nad pierwszym — oto i osnowa całości! Prowadzenie intrygi choć nie gorszące zawiłością, jednak zręczne; djalogowanie często jednak za długie. Aktorowie jak mogli starali się najlepiej odegrać.

Janowski w roli hrabiego zawsze ten sam, był lepszym, bo naturalniejszym w parobczaku w Flisakach, za co też kilkakrotne dostawał brawa, chociaż i tu rolę swoją wykrzywił, bo ciągłem i przesadnem rozdziawianiem ust, dziwacznem mruganiem oczów, wrzaskiem i hałasem za nadto chciał gapia naśladować, a własnemi dodatkami rolą nie objętemi, chyba z dowcipem nie wporę się popisywać.

Radzyńska przewyborna w obydwóch, ledwo się ukazała, już ją z hukiem przywitano. Szczególnie w roli szambelanowej, przejąwszy się doskonale usposobieniem starej dewotki, co przy całem nabożeństwie jest zbiorem plotek, któremi tylko żyje i oddycha, mimiką, grą całą ogromny wzbudziła zapał.

J. Szynglarska pomimo bardzo niewyrobionego głosu, czasem monotonnej gestykulacyi i deklamacyi, podobała się przecież dosyć, zaufaniem, które w swoje siły okazuje, oswojeniem się z deskami sceny i dokładnem wyuczeniem się roli na pamięć.

Szturm w końcu, (w roli pułkownika) godnością i prawdą gry zadowolnił ogół, a do roli zupełnie odpowiednemi ruchami był miłym kontrastem, który od reszty występujących hrabiów, książąt, referendarzów etc. przesadnych i nieprzesadnych ruchami i ubiorem nawet mocno odbijał, i sam jeden z pomiędzy nich przypominał, że rzecz w salonie się dzieje. Podobnie *Benda* ucieszył nas bardzo

znacznym swoim postępem i dał otuchę, że jeżeli go ztąd wynikające pochwały nie zwrócą z drogi, na którą wchodzi, i jeżeli nie weźmie o sobie przekonania, że *już* doskonały, (jak to z wieloma się dzieje,) może być artystą.

Druga sztuka Anczyca znana już dawniej, zajmuje chwilowem dobrze zastosowanem wrażeniem, a nie głębszą wartością. Obrachowanie też effektu nie omyliło, a jak mówiliśmy, rozczulona publiczność i artyści rozeszli się tego wieczora w wspólnem zadowoleniu i porozumieniu, a które i na cudzoziemskiej publiczności się odbiło wyrazem podziwu i miłó też ich było słyszeć mówiących: *ci ludzie czują co grają, a oceniają się zobopólnie.*

Przy końcu pierwszych tych uwag o pierwszem przedstawieniu, nie możemy pominąć błagalnych głosów do administracyi teatru, które się zewsząd wznosiły, aby ta ostatnia lepiej uorganizowała służbę, a mianowicie bileterów, którzyby dbali o to, żeby mający numerowane miejsca, nie potrzebowali stać przez cały ciąg, i z zazdrością na zabrane swoje siedzenia tylko spoglądać; lecz żeby osadziwszy każdego w nabytem miejsu, nie narażali na sprzeczkę, wynikającą z upomnienia się o kupnem nabyte prawa.

* Dziennik wychodzący od r. 1848 raz w tygodniu w narzeczu ruskiem pod tytułem: *Zorja hałycka* przestał wychodzić.

Przyjechali dnia 26. Września.

PP. Thulie Jan z Mokrzan. Bartmański Felix z Tadania. Seebald Karol ze Stanisławowa. Płocki Józef z Gorczy. Medwej Franc. ze Stanisławowa. Eminowicz Józ. z Wiśnicza.

Wyjechali dnia 26 Września.

PP. Wodzicki hr. do Brzezan. Corti i Dzieduszycki hr. do Krakowa. Kozicki Maryan do Kałusza. Białobrzeski Stan. do Dzidziłowa. Obertyński Leop. do Stronibab

---

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	115	Pożyczka 5%	74⅞ —
Hamburg za 100 tal. banco	82¾	Akcye banku	1036
Londyn za 1 funt szterl.,	11	Kolej północna	2042½
Medyolan za 300 lirów	112½	Obl. ind.	65
Paryż za 300 franków .	132	Nowa pożyczka z loterya	97¾
Agio duk. ces.	17	Pożyczka narodowa . .	79

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	18	złr.	5	kr	20
Dukat cesarski	„	5	„	22	„	5	„	26
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	7	„	9	„	12
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	47
Talar pruski	„	1	„	40	„	1	„	42
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	16	„	1	„	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	40		92	„	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		67	„	30	„	68	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		79	„	10	„	80	„	—

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Zdrukarni E. Winiarza.

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 116 z roku 1855.

Nowości literackie
w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Sława, którą sobie wielmożny pan Franciszek Medwej właściciel dóbr w mojem sąsiedztwie przez użycie wody jako jedynego lekarstwa, na wzór nowszych zaszczytnie znanych hydropatów zjednał, tudzież własne moje przekonanie o skuteczności tejże kuracyi, spowodowały mnie w chorobach, na które ja i moja familia, zapadliśmy szukać u Niego pomocnej porady. Wżny Franciszek Medwej oddający się tej szczytnej gałęzi naukowej z bezprzykładnem poświęceniem, leczył na wezwanie moje moją żonę na zapalenie błony piersiowej, mnie na cholerynę a mego dwuletniego syna, na febrę gastryczną i na dysenteryę krwawą. Wszystkie te choroby pokonał radykalnie i w krótkim czasie.

Za to szlachetne bezinteresowne postępowanie mam sobie za największy obowiązek złożyć Mu publicznie moje podziękowanie

Franciszek Herlth
wł. dóbr ziemskich w obwodzie Samborskim.

(174 1—3).

Dworek wiejski

z wolnej ręki do sprzedania

na wzgórzu przed Pohulanką położony, z jednym morgiem gruntu i około 200 drzew owocowych.

Bliższą wiadomośc powziąć można w cukierni J. Maison we Lwowie przy ulicy halickiej.

(175 1—3).

Nakładem księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie wyszedł:

Wykład

DZIEJÓW POLSKICH,

dla dzieci od lat siedmiu do dwunastu,

przez

MACIEJA ŁOMŻĘ,

Cena 45 kr. m. k.

Pracownia sukień męskich

F. BAŁUTOWSKIEGO

pod Nr. 323 przy ulicy nowej

posiada zapas znaczny sukień gotowych, a przy teraźniejszej porze jesiennej zaopatrzyła się w stcsowne materje wełniane jesienne i zimowe. Sukni tak gotowych jak i zamówionych dostać w tej pracowni można po rozmaitych cenach niższych i wyższych.

1. **Surduty wierzchne**, tak zwane **Oberroki**, w cenie od 25 złr. do 50 złr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem lub całe jedwabiem podszyte.
2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 złr. do 30 złr. m. k.
3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 złr. do 30 złr. m. k.
4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, watowane lub dwustronne od 20 złr. do 35. złr. m. k. i to w każdym kolorze w jakim sobie kto życzy.
5. **Fraki** od 18 złr. do 30 złr. m. k.
6. **Pantalony** rozmaite, od 8 złr. do 14 złr. m. k.
7. **Kamizelki** pliszowe, axamitne, od 8 złr. do 12 złr. axamitne od 6 złr. do 12 złr. wełniane zimowe od 4 złr. 30 kr. do 7 złr. lżejsze od 3 złr. 30 kr. do 5 złr. m. k.

Kto mieszkając na prowincyi nie może sam przybyć do Lwowa dla wzięcia miary, potrzebuje jedynie przesłać objętość korpusu swego pod pachami z uwagą czy budowa cała jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od zwyczajnej różni. Podług wyrachowań krawiectwa paryskiego, pracownia uskuteczni podług tego robotę żądanych sukni, a za udatność jej ręczy.

(170 4—12)